

DOM POLSKI

PISMO BELETRYSTYCZNE I NAUKOWE

wychodzi w Poznaniu 1. 10 i 20 każdego miesiąca.

Rok I.

— Poznań 20 sierpnia, 1888 r. —

Nr. 24.

Prenumerata roczna wynosi 8 m., półroczna 4 m., ćwierćroczna 2 m. tak dla miejscowych, jak zamiejscowych przedpłacicieli krajowych; dla Galicyi 5 złr. rocznie, 1 złr. 25 cent. ćwierćrocznie, z przelaniem egzemplarza na miejsce. — Miejscowi przedpłaciele, odbierający „Dom polski“ w ekspedycyi, lub w redakcyi, płacą tylko 1,50 młk. — Zapisywać można na wszystkich pocztach krajowych, a w Poznaniu w ekspedycyi, ulica Podgórna nr. 8 — lub w redakcyi, ulica Wiedeńska, nr. 5, I. piętro. — Przedpłatę ćwierćroczną przyjmuje każda poczta; półroczną, lub roczną tylko ekspedycya, lub redakcyja. — Inzeraty przyjmują się za opłatą 20 fen. od wiersza jednołamowego. — Drukowanych rękopisów nie zwraca redakcyja.

WILLA ERLACH.

Powieść przez Ossipa Schubina.

Z języka niemieckiego tłumaczyła A. P.

(Ciąg dalszy.)

Drugi męzki członek, gwiazda tego zgromadzenia, oczekuje równie niecierpliwie swej kolei. Jest to jakiś Florentczyk, zamieszkały w Paryżu z dwiema siostrami, które mu na lekcya zawsze towarzyszyć nie zaniedbują. Są to dwie brzydkie, stare panny w dużych *rembrantach*, które, jak się Stelli poufnie zwierzyły, w „Temple,” kupowane były. Zazwyczaj siadają z prawej i lewej strony brata, a podczas śpiewu tego ostatniego uśmiechają się z dumą i zadowoleniem, bezustannie kiwając głowami.

Należycie odsunięta od wszelkiej z męczyznami styczności siedzi jakaś mała z potarganą główką osóбка, córka *divy* i pewnego znanego reportera paryzkiego. Przybywa na lekcye w towarzystwie siwowłosej *duenny*, która ją całą swą osobą zasłania, co jednakże biednej ofierze wcale nie przeszkadza z za zniszczonej kapotki swego cerbera ogniste na młodego Włocha rzucać spojrzenia.

Miss Lilly nie ma naturalnie zamiaru występować na scenie, o teatrze mówi z największym oburzeniem, a karierę aktorki uważa za nie „*comme il faut*.”

Stara jakaś Angielka z długimi zębami i łokciowym stanem nie dzieli tego zdania; w tej chwili właśnie zwierza się młodemu Florentczykowi łamaną francuzczyzną, jak jej niewymownie przykro nie posiadać tyle głosu, ile *pour remplir un opéra* potrzeba.

Natalii Lipińskiej nie ma jeszcze między obecnymi.

Stella, nie chcąc przerywać wykładu, usuwa się ciutko, witając przyjaznym uśmiechem dwie siostry barytona i sentymentalną *miss* Fracer. Po ukończeniu przemowy Seggiola o uszlachetniającym wpływie, jaki muzyka na ludzi wywiera, wystąpił *monsieur* Meyer z „*Dolcesse perdue*”, a po nim *miss* Fracer z walcem z „*Trawiaty*”, w którym oprócz innych usterek krótki i ciężki oddech zupełnie słaby jej głos przygłusza. W połowie zatrzymuje się nagle, przykładła dużą, w czerwonej mitence rękę do serca i wydaje głośno westchnienie.

— Coż to? — pyta Seggiola z pewną niecierpliwością — coż się pani stało?

— Ach! walec ten wrzusza mnie, ile razy go śpiewam, i wywołuje gwałtowne bicie serca — odpowiada *miss* Fracer melancholijnie.

— To źle — odzywa się della Seggiola, zażywając tabakę — poradź się pani doktora, to z pewnością jakie lekarstwo zapisze.

— O! doktor nic mi nie pomoże — zapewnia go *miss* Fracer z tragicznym ruchem głowy — jestem zanadto wrażliwą. Gdybym tylko silniejszym trochę głosem władać mogła, to nie wątpię wcale o powodzeniu na scenie, *parce que je suis très passionnée*.

Della Seggiola, chcąc ukryć trochę ironiczny uśmiech, przygryza sobie wargi; w tej samej chwili ukazuje się w drzwiach Natalia Lipińska, a za nią — Stella swoim oczom nie wierzy — księżę Cino Capito!

— *Permettez, signore della Seggiola*, że ci kuzyna mego, księcia Capito, przedstawię — odzywa się Natalia wprawnym francuzkim językiem, w którym trochę twardy akcent przebija. — Kuzynowi memu sprawiłoby wielką przyjemność móż się do grona twych uczni zaliczyć.

Przybycie księcia zrobiło chwilową przerwę. *Miss* Fracer zwraca w stronę nowego członka swe blade niebieskie źrenice, wyrazem spojrzenie obłaskawionego królika żywo przypominające. Uroda młodego księcia korzystne na starej pannie musiała wyrzucić wrażenie, bo wzrok jej ożywia się cokolwiek i nawet z pewnem zainteresowaniem na twarzy Cino spoczywa. Po ukończeniu ceremonii przedstawienia księżę zwraca się raz jeszcze do maestra z życzeniem brania we wspólnych i prywatnych jego lekcjach udziału, prosząc jednakże o cierpliwość, jakiej każdy początkujący wymagać ma prawo. Natalia przedstawia go suniennie reszcie towarzystwa, wymawiając błędnie każde imię i nazwisko obecnych, co nie zawsze z korzyścią dla noszących je wypada.

Księżę, przybrawszy najpoważniejszy wyraz twarzy, oddaje niedbale ukłony; damy obrzuca ciekawem spojrzeniem, następnie podchodzi ku Stelli, którą wita z wyszukaną grzecznością. Widząc opróżnione obok niej miejsce, zajmuje je bez ceremonii, i nie troszcząc się wcale o *miss*

Fracer, która znów wal a śpiewać zaczęła, rozpoczyna natchmiaszt rozmowę:

— Zaraz następnego dnia po naszym spotkaniu się u Teresy złożyłem paniom wizytę, ale, niestety! nie zastałem ich w domu. Czy oddano paniom moją wizytową kartę?

— Oddano.

— Nie uwierzysz, pani, jak mi było przykro nie zastać pani baronowej, ani pani. Czyby przypadkiem wieczorem nie była stosowniejsza pora?

— Zapytam mamę, ale...

— A coż pani od tego czasu robiłaś?

— O! ten tydzień przeszedł mi nader przyjemnie! Pani Rohritz zaprosiła mnie do teatru, a drugiego dnia pojechałam z nią do lasku

— Ale jeżeli Teresa pani nie zabiera, czy nigdzie nie bywasz, baronówno, poświęcając cały swój czas historycznym notatkom i nauce śpiewu?

— Och! nie, czasami jestem w Tuileryach ze znajomą mi starszą nauczycielką, w której odpowiednią znalazłam towarzyszkę, czasami idę do Louvru, który znam lepiej od przewodników paryżskich.

Pomimo, że tę rozmowę prawie szeptem prowadzili, panna Furwesen, usłyszawszy powyższą odpowiedź Stelli, obrzuciła młodą parę najzjadliwszym spojrzeniem.

Miss Fracer, wymęczywszy nareszcie nieszczęsnego walca, usiadła zadyszana na krześle i z kolei śpiewa Natalia wielką arją z „Purytanów“, zaczynając się od słów „*Qui la voce, sua soave!*“

Powierzchność Natalii nieokreślone jakieś sprawia wrażenie. Szczupła, niskiego wzrostu, z trochę wklęsłą piersią, o ładnych rysach twarzy, z przezroczystą, matową cerą, z dużemi oczyma i białemi równemi ząbkami nie jest ładną, chociaż wielu mężczyzn w jej urodzie gustuje. Pomimo dziesięciu milionów rubli majątku chce koniecznie zostać artystką i wszelkie perswazyje matki na to postanowienie żadnego nie wywierają wpływu. Chociaż poufałość stosunków teatralnych budzi w niej wstępną i gorszą prawie, jednak dla zadowolenia jedynej swej namiętności, to jest sztuki, chce poświęcić swe zasady i przemodz to usprawiedliwione oburzenie.

Za odezwaniem się Natalii Cino przerywa rozmowę; zbyt dobrze jest wychowany, aby przeszkadzać w śpiewie jakiegokolwiek znajomej kobiecie, chociażby była najbliższą jego kuzynką. Z całym skupieniem wsłuchuje się w śpiewaną „Cavatine“, chociaż złośliwy wyraz w przymkniętych nawpół oczach zdradza jego myśli, nieharmonizujące bynajmniej z poważnym wyrazem zazwyczaj uśmiechniętej twarzy.

Głos Natalii wiele pozostawia do życzenia. Śpiewa w takt, ale wydaje jakieś ostre tony, wymawiając twardo melodyjne, włoskie wyrazy, a namiętną arją śpiewa zimno i bez czucia, w najtkliwszym miejscu: „*Vien ti posa sul mio cor*“ kończąc zapinać rękawiczkę.

Signora della Seggiola przerywa jej po ukończeniu tego ustępu; panna Furwesen przestaje grać na skinienie maestra. Natalia patrzy na niego zdziwiona.

— *Très bien, mon enfant* — odzywa się della Seggiola, zżywając tabakę i wstrząsając głową. Nie potrzeba zapewne dodawać, jak to poufałe nazwanie przypadło Natalii do gustu; — *très bien*, śpiewasz bardzo do taktu, ale musisz się starać nadać twemu głosowi więcej czucia, więcej namiętności. Wstaw się tylko w położenie Elwiry, kiedy napół przytomna z szalu miłostnego i tęsknoty, wola na kochanka wśród ciemnej, burzliwej nocy: „*Vien ti posa sul mio cor*...“ Musisz tę arją... nie wiem, jak się wyrazić... namiętniej odśpiewać — oto tak na przykład...

Panna Furwesen zaczyna akompaniować od początku, a della Seggiola, przybrawszy teatralną postawę, z wyciągniętymi naprzód rękoma, z głową w tył pochyloną zaśpiewała: „*Qui la voce!*“ głosem, któremu znacznego talentu odmówićby nie mógł nawet ten, któremu jego metoda nauki śpiewu podejrzana byłaby wydać mogła.

Capito, dla którego prorokiem w muzyce jest Mozart i Rossini, głośnym brawo okazuje swe zadowolenie Wagnerowskiej niestrawnej muzyki znieść nie może, ale zachwycony jest tym starowłoskim, pełnym poezji śpiewem delli Seggioli i wypowiada mu to w sposób dlań bardzo pochlebny.

Lekcja trwa jeszcze ciągle; signora Trevisani, baryton z Florencyi, popisuje się jakąś nic nieznaczącą romanżą, po nim miss Lilly śpiewa, wdziecząc się kokietując, „*Plaisir d'amour*“; w końcu kolej przychodzi na Cina, który z wrodzoną sobie nonszalancją wyrzuca kilka czystych, pełnych tonów.

Della Seggiola, spodziewając się w nowym swym uczniu tenora, rozczarował się bardzo trzecim w swym gronie barytonem, dla którego nuty są na równi z hieroglifami niezrozumiałą zagadką. *Maestro*, chcąc usunąć tę nieświadomość, ofiaruje mu się przysłać do domu nauczyciela muzyki, co usłyszawszy panna Furwesen, oświadcza się z całą gotowością podjęcia tego ważnego zadania. Książę udaje, że nie dosłyszał propozycji i patrzy z trochę ironicznym uśmiechem przed siebie, a śmiertelnie obrażona pianistka staje się od tej chwili najzaciętszą jego nieprzyjaciółką.

Punktem kulminacyjnym, a zarazem ostatnim numerem programu dzisiejszej lekcji jest znany duet Don Juana i Cerliny, odśpiewany przez signora Trevisaniego i Natalią Lipińską.

Trudnoby zaprawdę wystawić sobie smutniejszego „Don Juana“ od jego przedstawiciela w osobie młodego Włocha. Chcąc się najkorzystniej oczom swej partnerki przedstawić, ogolił się dziś rano, o czem świadczy podrapane oblicze. Bujne, malowniczo rozrzucone włosy sięgają aż na kołnierz surduta, nadając twarzy jakiś patryarchalny wyraz. Ubrany jest czarno, jak paż w „Mallbrouku“, a jasno zielony krawat dziwnie od ciemnej reszty ubrania odbija.

Natalia, przybrawszy dumną postawę, spogląda nań z lekceważeniem, czem tak oniemiała biedaka, że zamiast zwykłego ładnego i swobodnego głosu, wydaje jakieś ochrypłe, bezdźwięczne tony. Cerlina śpiewa, jak zwykle, bardzo do taktu, ale pomimo to głosy zakochanej pary tak się nie zgadzają, że z rozpacz Seggiola radzi im podczas śpiewu trzymać się za ręce. Natalia, oburzona tą propozycją, cofa się kilka kroków w tył, podając zmiesznanemu Don Juanowi zaledwie koniuszki swych palec.

Trzy razy powtarzają duet, za każdym razem z mniej pomyślnym skutkiem. Zniecierpliwiony maestro błaga Cerlinę, ażeby trochę uprzejmiej, z odrobiną kokieteryi i uczucia śpiewać raczyła, a Don Juanowi zarzuca, że nie jest dość porywającym. Wszystko napróżno, oczy Cerliny błędzą beczmyślnie po ścianach pokoju, a Don Juan gładzi sobie potargane włosy. Zniecierpliwiona ograniczeniem swego partnera Natalia, przerywa duet, mówiąc dość szorstkim głosem:

— Proszę się dłużej nie męczyć, i tak lepiej nie pojedzie! Cino — dodaje, zwracając się przez ramię do młodego księcia — wyręcz signora Trevisaniego, który ma chrypkę i przejmiej jego rolę, wszakżeśmy nieraz ten duet razem śpiewali.

— Bardzo chętnie, jeżeli jest jeszcze dość czasu — odpowiada młody książę z czarującą uprzejmością.

Właściwie już nie ma czasu, i każdemu innemu, prócz księcia, byłby maestro oświadczył stanowczo, że dwunasta godzina właśnie wybiła, ale tym razem, robiąc wyjątek, gotów jest po raz czwarty wysłuchać duetu, siada zatem głodny i zrezygnowany, z założonemi na piersiach rękoma, z oczyma w końce butów wlepionemi.

Ale już pierwsze tony duetu zwracają na siebie ogólną uwagę. Wszystkich oczy spoczywają na osobie księcia, z którego ust płyną dźwięki, któreby nawet pierwszorzędnemu śpiewakowi chlubę przynieść mogły.

— Czy książę śpiewasz i ten kawałek? — pyta zachwycony Seggiola po ukończeniu duetu.

— *A peu près* — odpowiada Capito, przyczem panna Furwesen akompaniować zaczyna.

Cino oczarował słuchaczy; ironiczny uśmieszek, który i podczas śpiewu z ust jego nie zeszedł, dodaje nowego wdzięku pięknej jego twarzy. Z swą zręczną, niewymuszoną postawą, z rękoma w kieszeniach aksamitnego żakietu, z głową lekko w tył pochyloną jest uosobieniem lekkomyślnego, dumnego, Mozartowskiego *bonvivant'a*, uosobieniem, któreby i znawcę zadowolić musiało.

Po ukończeniu śpiewu *miss Fracer*, której wzruszenie dosięgło zenitu, dziękuje mu, ściskając obiedwie jego ręce; Stella z uśmiechem bije brawo, a *Signore Trevisani* wpatruje się w twarz księcia z uwagą, jak gdyby chciał w niej wyczytać tajemnicę tego poryjającego śpiewu.

— Gdzie się śpiewu uczyłeś, *mon prince*? — pyta z zajęciem *maestro*.

— Wszędzie.

— U kogo?

— U nikogo!

— To jest prawdziwa zasada! — woła Seggiola uniesiony artystycznym entuzjazmem, zapominając o wszelkich ostrożnościach: — *car entre nous soit dit, le chant ne s'apprend pas, mon cher prince!*

Cino, śmiejąc się, utrzymuje, że, przeciwnie, obiecuje sobie wiele skorzystać z nauki *maestra*; Seggiola jednakże z wrodzoną swemu narodowi ujmującą grzecznością odparł stanowczo:

— Jeżeli książę zechcesz mi dopomóc w objaśnianiu tych państwa o tajemnicach dobrego śpiewu, to będziesz zawsze pożądanym, ale o nauce, *mon prince*, mowy być nie może!

Po ukończonej lekcji Cino, podawszy Stelli i Natalii futerka, żegna się z Seggiolą serdecznym uściskiem ręki, a reszcie zebranych kiwnawszy zaledwie głową, opuszcza salę w towarzystwie obudwu panien.

— Co to za przyjemny człowiek ten *prince Capito*!... siostrze jego dawałem niegdyś lekcye — objaśnia della Seggiola pozostałych, zacierając z zadowoleniem ręce. — Podobnego głosu dawno nie słyszałem, śpiewa, jak Mario, kiedy się liczył jeszcze do grona najpierwszych śpiewaków.

— Księcia Capito poznałam w Wiedniu — wtrąca się panna Furwesen zgryźliwie — jest Włochem, ale tej dumy dopiero się w Austrii nauczył.

ROZDZIAŁ XXVI.

Mimo wspólnej lekcji, na którą się wszyscy razem zbierają, uczniowie della Seggioli nie zawierają między sobą bliższej znajomości. Wiedzą o sobie tyle, o ile się znają podróżni, jadący we wspólnym przedziale, a którzy po opuszczeniu wagonu są znów obcemi dla siebie osobami. Po wyjściu z zakładu della Seggioli każdy z członków w inną rozehodzi się stronę; *miss Lilly* w towarzystwie „duenny“, ubranej w chustkę ze źle imitowanego indyjskiego kaszmiru, *signore Trevisani* z siostrami, uwieszonemi u obu jego ramion, *miss Fracer*, wreszcie Cino ze swemi towarzyszkami.

Młody książę jest w świetnym humorze; z wesołym, trochę wyzywającym uśmiechem idzie obok obu panien, nucąc półgłosem:

— *La ci darem, la mano.*

— Rzeczywiście, że ślicznie dziś śpiewałeś — odzywa się Natalia po chwilce milczenia — Seggiola był oczarowany.

— Hm! i cóż mi z tego przyjdzie — mówi, wzruszając ramionami. — Mimo wszystko dał mi grzeczną odpowiedź!

— Zapewne z obawy, żebyś książę swym śpiewem nie wzruszał *miss Fracer*, która i tak cierpi na serce — odpowiada Stella ze zwykłą nieustraszoną w poruszaniu drażliwych kwestyi w rozmowie.

— Właściwie Seggiola ma słuszność — odparła Natalia z namysłem; — nie bardzo wypada, żebyś w tych wspólnych lekcjach brał udział.

— Dziwna rzecz — mruknął Cino — że często właśnie, co najprzyjemniuszem, robić nie wypada.

— Czy rzeczywiście książę sądził, że to tak wielką przyjemność powtarzać tę samą arya cztery razy tygodniowo? — odzywa się Stella wesoło.

Nie zostawiając mu czasu na odpowiedź, Natalia wypytuje go o wrażenia, jakie na nim metoda Seggioli zrobiła:

— Coż sądził o Seggioli, jako o nauczycielu?

— Bardzo ładnie śpiewa — była wymijająca odpowiedź Cina.

— Być może, ale na nauczyciela jest niezdatny; nie umie sobie nadać powagi, przytem za mało wymaga od swoich uczniów i uczennic.

— Tak sądził? — odparł Cino z dwuznacznym uśmieszkiem — a mnieby się zdawało, że żądania jego o wiele zdolności uczniów przewyższają.

— Jak to? — spytała Natalia z widoczną urazą w głosie.

— Od ciebie naprzykład żądał kokieteryi, a od tego, hm! nie wiem, jak się nazywa... od tego Trappenti, ażeby śpiewał porywająco. O ile sądzę, przyszłoby wam obojgu zrobić to z trudnością.

— Dzisiajśże uwagi Seggioli były co najmniej niestosowne, odpowiada Natalia, marszcząc brwi z niezadowoleniem.

— Zapewne, bo przy duccie kazać się wstawić w położenie zakochanych *c'est de la dernière inconvenance*, a zresztą żądanie czegoś podobnego przewyższa twoje zdolności. Ale — dodaje, przeskakując nagle do innego tematu z wrodzonym sobie wdziękiem — powiedz nam, bo zapewne i baronównę Stellę to obchodzi, w jakim właściwie jesteś wieku. O ile mi się zdaje, skończyłaś dwadzieścia pięć lat.

— Dwadzieścia sześć — odpowiada bez wahania.

— Dobrze, więc dwadzieścia sześć, a czy już kochałaś kiedy?

Ku wielkiemu zdziwieniu Cina twarzyczka Natalii oblewa się gorącym rumieńcem, odwraca szybko głowę i gniewnie szepce przez zaciśnięte zęby:

— *Vous êtes insupportable aujourd'hui!*

— Aa, więc także — woła z wesołym uśmiechem — zapewne w jednym z tych litografowanych portretów, które u was w Jekatorynowsku na korytarzach wiszą, w Orłowie, albo Potemkinie na przykład. Szkoda zresztą, że się tak rzadko rumienisz, bo ci z tem bardzo do twarzy.

Na następnej ulicy Stella, której na przeciwną stronę miasta iść wypada, żegna się z Natalią i Cinem, wielce niezadowolonym z tego rozłączenia. Chcąc sobie brak jej towarzystwa przynajmniej widokiem ładnej jej twarzyczki nagrodzić, opuszcza w tej samej chwili zdziwioną kuzynkę, postępując obok Stelli na przeciwnym, równoległym trotoarze. Natalia, odgadując zamiar młodego księcia, spogląda za nimi, dopóki nie zniknęli na zakręcie ulicy.

— Która to z rzędu pani jego serca? — myśli z westchnieniem. — *Pauvre petite étoile, elle est bien gentile pourtant*, mam nadzieję, że będzie rozsądniejszą ode mnie — dodaje, rumieniąc się nieznacznie.

Capito tymczasem podąża za niedomyślającą się jego obecności Stellą, przebiegającą z pospiechem długą, ozdobioną ulicę *des petits champs*.

— Jakie ma ładne ułożenie, jak się prosto trzyma — szepce Cino, nie spuszczać z niej oczu. — Ruchy jej tak naturalne i swobodne nie są przecież pozbawione odurzającego, rozmarzającego wdzięku, prawdziwa muzyka dla oczu! A przytem *quel bouquet de couleurs!*... biała twarzyczka z wielkimi oczyma i karminowemi usteczkami, złote warkocze, tak ślicznie z brązowym połyskiem futra harmonizujące. Nie ma co mówić, jest zachwycająca!

Cino należał do tych wyjątkowych męczyzn, u których zmysłowość pewną dozłą poezyi i estetycznego smaku uidealizowaną i uszlachetnioną bywa. Z biegiem lat jednakże — przynajmniej jak sam o sobie utrzymywał — przymieszka dobrego smaku i poezyi zmniejszyła się o wiele.

Dziś odzyskuje znowu to samo młodzieńcze, dawno utracone poczucie, wywołane urokiem, jaki Stella bezwiednie nań wywiera.

— Ba, to przejdzie! — myśli sobie w duchu — bo podobne napady zawsze przemijają, musi zresztą przejść, bo i tak nie doprowadziłoby do niczego; *mais tout de même* jest zachwycająca!

Postępują dalej ożywioną ulicą, on z miłością w idealne, urocze zjawisko wpatrzonymi oczyma, a ona, jak sam nie bez pewnego niezadowolenia spostrzedz musiał, zupełnie nań nie zważając, jedynie we własnych zatopiona myślach.

Gwar i ruch stolicy otacza ich dokoła. Na trotuarach idą panny sklepowe w czarnych sukienkach i białych czepczkach na ładnie ufryzowanych włosach, spiesząc ze śniadania, lub na śniadanie; robotnicy fabryczni w zabrudzonych niebieskich koszulach; służące w białych fartuszkach, z koszykami w rękę; Angielki z długimi zębami i niebieskimi woalkami, wreszcie najrozmaitsze typy stałych mieszkańców Paryża. Wszyscy spieszą naprzód do oznaczonego, im tylko wiadomego celu, nie zważając na nic i na nikogo. Środkiem ulicy ciągną rozliczne wehikuly, począwszy od małych dwukolnych wózków, naładowanych rybami, kwiatami i owocami, ciągnionych przez wieśniaczki, skończywszy na omnibusach, wielkości małych domków, których galerye prawie na pierwsze piętro kamienie sięgają, a które zaledwie para najmocniejszych koni uciągnąć jest w stanie. Po drodze zabierają coraz to nowych podróżnych; zadyszana nauczycielka muzyki wskakuje z pomocą konduktora na platformę, lub urzędnik, spieszący do bióra ze skórzaną teką pod pachą, wdrapuje się ze zręcznością małpy po żelaznych schódkach, prowadzących na wysoką galeryę. Wnętrze omnibusa i galerye pełne są jadących; obok gładko ogolonych, ciągle w duchu liczących finansistów, siedzą wychudli studenci i artyści, a poblądłe ich twarze świadczą o bezsennie na tanich rozrywkach przepędzanych nocach.

Obok turkocących omnibusów ciągną powoli naładowane wozy o niskich szerokich kołach, zaprzężone siwemi, lichemi normandzkimi końmi w świecącej uprzęży. Brodaci woźnice — również normandzkiego pochodzenia — postępują obok, w wysokich baranich czapkach na głowie, spoglądając z niemem zdziwieniem na gwar i życie uliczne.

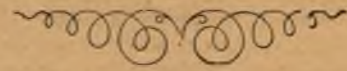
Błede styczniowe słońce dodaje trochę światła temu żywemu obrazowi, powietrze jest mroźne, przesiąknięte zapachem pomarańcz, wędzonych ryb i kwiatów. Przy tych ostatnich zatrzymuje się Stella, chcąc kupić bukiet fiołków od małej, obdartej dziewczynki; Cino przysuwa się także, śledząc każde poruszenie swej towarzyszki. Gwar, który o tej porze największe przybiera rozmiary, przeszkadza mu zrozumieć, co mówi; jednakże od czasu do czasu dolatują go słodkie dźwięki jej głosu, a wyraźnie prawie słyszy wesół, serdeczny śmiech, jakim kwiaciarce na zbyt wygórowaną cenę odpowiada.

— Gdyby się do mnie tak uśmiechnąć chciała, to zarzuciłbym ją kwiatami — myśli w duchu; w każdym razie posłę jej piękny bukiet do hotelu, kiedy wiem, że kwiaty tak lubi.

W tej chwili wielki omnibus zasłania Stellę przed wzrokiem oczarowanego Cino właśnie, kiedy podziwiał śliczną minkę, jaką przy dobywaniu portmonetki zrobiła. Niestety! za omnibusem jadą sanki, następnie dwa wozy i znowu napakowany omnibus, nareszcie, kiedy ta improwizowana zasłona opadła, Cino napróżno ogląda się za Stellą. Po chwili odszukał ją wzrokiem, ale coż znaczy ta nagła zmiana? Dojrzał jej poblądłą od wzruszenia twarzyczkę, smutnie w ziemię spuszczone oczy, a obok niej jakąś szczupłą, biednie ubraną kobietę, trzymającą czteroletnią może dziewczynkę za rękę. Nieznajoma, ze złotymi włosami i twarzą, na której czas i troska niezatarte zostawiły ślady, jest zawsze jeszcze do obok stojącej Stelli uderzająco podobną.

— Coż to za znajomość? — pyta się Cino zdziwiony, ale zaledwie mógł zebrać myśli, czy nie spotkał już gdzie tej naprzeciw stojącej kobiety, nieznajoma ze Stellą zniknęły we drzwiach jakiejś drugorzędnej cukierni.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Dla młodzieży

parę słów z oblężenia Krakowa 1656 r.

Na Wawelu dzwony grają,
Tak, iż zadrżał grodu mur,
Bo najeżdźcy się zbliżają
Od krakowskich gór.

Lśnią z daleka ich szyszaki,
Różnobarwne kohort stroje,
Widać, widać szwedzkie znaki
I złociste onych zbroje.

Ciągną zwolna po równinie,
Pułk za pułkiem falą płynie,
Zataczając wielkie kręgi,
By błękitne, jasne wstęgi.

I buchnęły w ślad płomienie,
Co pożarły ludzi mienie,
Gdyż tak znaczą swoje drogi
Przez zniszczenie i pożogi.

A w Krakowie zgiełk i wrzawa,
Bo już kipi walka krwawa,
Co okryła w kwiaty wieńce
Bohaterskie dwa młodzieńce,¹⁾
I zdobyli gromką sławę,
Godni nosić i buławę.

Pan Belina tu przywodzi
Z akademii polskiej młodzi,
Osiwiał starzec w boju,
Dla ojczyzny w ciągłym znoju.
A przemawiał tak gorąco,
Tyle uczuć w każdym słowie,
Że rozpałił w sercu — głowie.

Za zdeptane ojców prawa,
Za zniewagę świętej wierze
Niech w zawody każdy stawa,
Niosąc życie swe w ofierze!

Hej! na szańce, młodzi nasza,
Za ojczyzny drogiej cześć,
Niech zabłyśnie kopia wasza,
By mogiłę wrogom wznosić.

Pochyliły się proporce,
Ich purpurę barwi słońce,
Dyszą pomstą na zaborce
Bożej kary straszni gońce

¹⁾ Sewerynowicz i Matyjański.

I runęli nawałnicą,
By ognistą błyskawicą,
Na żelazne wrogów szyki!
Niebem wstrząsły ich okrzyki.

Najeźdźników pierzchły rotę,
Potrzaskane Szwedów grotę,
Kto nie poległ, w połów wzięty,
Sztandar polski już zatknięty.

Orzeł biały promienieje,
W srebrze światła on jasnieje!
I odparli Szwedów roje
Akademii dzielni woje...

Pan Czarniecki się zdumiewa
Nad odwagą pełną chwały,
Ta rycerskość go olśniewa,
Dumy wspomnień w nim zagrały.

Święty Boże! patrzeć miło,
Jak na szafce młodzież biegła,
Oby więcej takich żyło,
Ich prawica by nas strzegła!

Tam rozgorzał płomień żnicza
Tej miłości kraju świętej,
Bo go strzegły ojce, matki,
Jak pamiątek cenne datki.

Oj! chowajmy tę spuściznę,
Tę najdroższą ojcowiznę,
Komu pamięć dziadów miła!...
By trucizna się nie wpiła,
Co wypala uczuć kwiat,
Gdyż obficie sączy jad.

Kazimierz Gzmiianin.

Zawodzie, 23 czerwca, 1888 r.



LISTY

Narcyzy Żmichowskiej do Bibiany Moraczewskiej.

VIII.

25 kwietnia, 1861.

List wczorajszy został mi w ręku, bo okazała się spóźniła — wielkie to szczęście! — w tej chwili przynoszą mi statut organiczny i różne do was zlecenia z zastrzeżeniem, aby przesłać co prędzej — zdaje się, że wszystko razem stanie u ciebie za dwa dni co najpóźniej.

A najpierw o statucie organicznym taka sprawa. Możecie go wydrukować w Dzienniku, lecz potem włożony jest na ciebie obowiązek, byś go co prędzej do Paryża wyprawiała. Nazwiska wchodzących do jego układu osób koniecznie trzeba objaśnić. Płatonów jest Moskalem, Tymowski i Karnicki są ludźmi, którzy karierę pod Mikołajewskim rządem zrobili, bliższe szczegóły o nich będą wam kiedyś w umyślnie zebranej notatce przesłane, dziś musicie tak w Paryżu, jak u was w Poznaniu na tych ogólnikach poprzestać, lecz chociaż ogólniki, nie pomijajcie ich przy ogłoszeniu, gdyż polskie brzmienia: Tymowski, Kar-

nicki, mogłyby kogo w błąd wprowadzić, że to przynajmniej jakieś polskie stronnictwo; o polskim narodzie mowy być nie może, ale że to jakieś polskie stronnictwo ultra legalne, lub ultra opieszale do tego należało, tymczasem jest to rzecz zupełnie rosyjska.

Druga sprawa, którą także prędko załatwić musisz, jest więcej poufnej i sekretnej natury.

W składzie komisji oświecenia na zupełne przeobrażenie po cichu się zanosi. W zupełnie prywatnej drodze Wielopolski dopytuje się o ludzi zdanych i wykształconych, którzyby mogli zająć miejsca profesorów uniwersyteckich, gimnazjalnych i wejść zarazem do składu rady kierowniczej; o takich ludzi po całej Polsce starać nam się trzeba; u nas więcej, niż gdziekolwiek, instytucja od człowieka, nie człowiek od instytucji zależy. Najpoczeiwni więc nasi zajęli się zbieraniem listy nazwisk i szczegółów, objaśniających nazwiska, by to przez innych znów pośredników Wielopolskiemu podsunąć; z Poznańskiego o jednym tylko Mottym dokładniejszą zebrał wiadomość, spodziewają się jednak, że jak ściślejsze zarządzenie śledztwo, to się niemało wśród was ludzi utalentowanych znajdzie i do profesorki i, co więcej może znaczy, do tej rady, która obok wyższej inteligencji energiczniejszego też charakteru wymaga.

Jak tonący brzytwy się chwytą, moja Bianeczko, tak nasi obywatele postanowili, a przynajmniej już postanawiają chwycić się tych pseudo koncesji, by z nich wszystko, co się da, wycisnąć. Nie mam nadziei, nie wierzę w najmniejszy dotykany rezultat tej próby, ale wierzę mocno, że pod względem moralnym bardzo dobre wyrwe skutki. Najpierw aż do chwili powstania ta cała krzątanina około wyborów zastąpi wszelkie, dziś uniepodobnione manifestacje, prócz tego poda jakiś żywioł rozbudzony w kraju agitacji. Gdyby powstanie mogło jutro wybuchnąć, ha! to pięknie byłoby wszystko razem odrzucić, lecz kiedy nadzieja powstania zdaje się od roku do roku usuwać, trzeba ciągłego poddmuchu, by aż do czasu iskrę tlejącą utrzymać; dzisiajjsze napięcie zbyt jest silne, długo bezczynnie utrzymać się nie może, a z drugiej strony przecierająca oczy szlachta gotowa znów się na drugi bok przewrócić, trzeba wszelkimi sposobami dla jednych zapalić lufty pewne otworzyć, dla drugich chłodnego temperamentu paliwa ciągle dostarczać, niech tylko myśl od ogólnej sprawy się nie odrywa, niech w rozpacz, ani w bezwładność do dnia i godziny nie zapada.

Zegnamy cię, Bianeczko, wszystkie, które cię tak kochamy myślą, mową, sercem, słowem, przeznaczeniem, uwielbieniem... i ja też.

Jest teraz kwestya między szlachtą, czy przyjąć Radę stanu, Rady wojewódzkie i t. p., czy nie przyjąć? Gdyby jutro miało być powstanie, ha! inna rzecz, ale teraz choćby dla zajęcia kraju ciągle ku politycznym pracom skierowanym duchem, dla podtrzymania rozbudzonego zapалу do dnia może trochę dalekiego wybuchu. Ci panowie chcieliby wiedzieć przynajmniej, kogo rząd ze swej strony wybierze, czy możliwym będzie kolegowanie. Napiszcie o tem artykuł, jak wam się zdaje. Ogromnie ważne dla tej chwili zadanie.

Upominasz się o adres, a ja zawsze zapominam, bo też, prawdę mówiąc, nie mam żadnej nieskompromitowanej znajomości — chyba podpisuj do panny Ludwiki Szyn-dlarskiej, która u nas mieszka, więc zawsze pałac Grabowskich.



WYSPA GOTLAND.

Obrazek z podróży

ułożył

hrabia Wawrzyniec Benzelskjerna Engeström.

(Ciąg dalszy.)

Widok tutaj na miasto i morze budzi marzenia i zaostrożną ciekawość do dalszej wędrówki wśród fantastycznych ruin i łomów, na to wielkie cmentarzysko przeszłości nas wprowadzając.

Schodząc z zielonych gajów palisadowego ogrodu, wstępujemy do właściwego miasta, które jest prawdziwym labiryntem ciasnych uliczek, jakie ciągłymi zakrętami i przesmykami dziwnymi oryginalne na zwiedzającym robią wrażenie, prastre nam czasy średniowieczne przypominając.

Wstępujemy z kolei na najokazalszą *Strandgatan* ulicę wybrzeżną portową, która jest główną starego Wysby arterią.

Nie znajdziemy tu jednak, jak gdzieindziej w tej zamarłej *Pompei baltyckiej* imponujących zabytków, jakimi się odznaczają starożytne miasta portowe północy; nie znajdziemy wiernie nam przechowanych, okazałych ratuszów, bogatych gmachów starego *Stockholmu*, *Lubeki*, *Stralsundu* i *Gdańska*, które nam dzisiaj jeszcze majestat i charakterystykę średniowieczną w żywym obrazie przypominają. Tutaj zamarło wszystko niemal, w gruz i popioły się rozsypując. Przeszłość i teraźniejszość — bogactwo dawne z ubóstwem dnia dzisiejszego — śmierć i życie — na każdym kroku tutaj widoczne, same nam tylko przedstawiają kontrasta. Szkielet poszarpanej ruiny obok drewnianej lepianki czerwono pomalowanej, lub kamieniczki kolorowej z zielonemi okiennicami. Poważna jakaś średniowieczna budowla, gmach odnowiony, bogaty w arkady i łuki śmiałe, na marmurowej kolumnie wsparte, imponujące powagą prawdziwie pańską — w dziwnej się przedstawiają sprzeczności z dzisiejszym, małomiejским przystrojem i przeznaczeniem, jakie im przekazano. W dawnej siedzibie bogatych królów morza ubogie nam pokazując pigmee — a co chwila, na każdym kroku, idąc ulicą, bacznym tylko okiem i badawczym zmysłem archeologa dawne wynajdujemy przeszłości ślady i dawne historyczne wspomnienia.

Zaraz na wstępie *Strandgatan* rozpatrzywszy się w głównej gospodzie naszej, w dzisiejszym *hotelu gotlandzkim*, spostrzegamy, żeśmy w dawnej i staroświeckiej się rozgościli siedzibie. Sień i pokoje sklepione na filarach śmiało a silnie wsparte. Piękne gotyckie łuki kamienne, gdzieś oddrzwia, okna staroświeckiej struktury zdradzają ślady najczystszej gotyki. Jest to jeden z najstarszych gmachów bogatej dzielnicy — stara *Rendantura* miejska dawnego *Wysby*. Widocznie poznajemy stary zabytek budowlany XIV stulecia, który długie bardzo lata — wieki niemal — przystrajał miasto fantastyczną i legendową ruiną mieszkaniem puszczyków i duchów nazwany.

Silna ta, niezłamana niczem, średniowieczna ruina przetrwała wieki, a grube sklepienia i mury oparły się dumnie zawiejom czasu i burzliwego żywiołu, w nowożytnie mieszkaniu się przeobrażając. Dziś, krom imponujących śladów i ciekawych bardzo szczegółów, krom głównej charakterystyki, której ręka ludzka zatrzeć nie mogła — dom ten w zarysach poważny i prawdziwie piękny, zmieniony jednak, niestety! do niepoznania, przejmując niemiłym uczuciem wandalizmu nowoczesnego, który pretensjami cywilizacji i komfortu nie umiał poszanować i uczyć pracujących swoich imponującej powagi, sprzeczność nam tylko harmonii wieków uwydatniając jaskrawo. W sklepionej

izbie gościnnej przechowały się między innymi malowane na ścianie przesłiczne freski z XV wieku, przedstawiające owoce i kwiaty oraz *Bachusa*, jako chłopca, trzymającego w jednej dłoni puchar złoty, w drugiej róg ofitości, napełniony kwiatami. — Patrząc na tego wesołego *Bachusa*, na jego puchar złoty i estetycznie malowane owoce, zdało mi się, jakoby znakomity artysta w natchnieniu — w czasach wielkości grodu i gmachu — przepowiadał mu hotelową przyszłość i przeznaczenie jego dzisiajsze.

Idąc dalej, zaraz opodal, przy placu *Donnera*, kędy się cztery wązkie uliczki i dwie przecznice, a raczej przesmyki, promieniem zbiegają, ciekawe i smutne znów wandalizmu ślady zauważałem. Przed tak zwaną dawną kamienicą *Engeströmów*, dziś *Strandbergów* własnością, dobudowano od ulicy schody kamienne z samych płyt nagrobkowych, z napisami XIII stulecia, które wydobyte z gruzów kościoła św. Jana — są rzeczywiście ciekawością archeologiczną, godną zaiste większego poszanowania.

Zaraz w pobliżu *Gotlandzkiego* hotelu — naprzeciw niemal — drugi taki praojciec dziejowej budowy — tak nazwana „*Gamla Residenz Huset*,” stary acz dużo późniejszy *dom rezydencji*. Stary dwór modrzewiowy, zbudowany w roku 1647 później znacznie powiększony i przebudowany. Stary ten zabytek, należący do rodziny kupieckiej „*Lylth*,” przechowany z poszanowaniem, zawiera bardzo ciekawe szczegóły. Cała budowa tego domu jest nadzwyczajnie oryginalną; belki, rzeźbione bogato — izby obszerne — przedstawiają wierny obraz czasu — i służyć mogą za dokładny wzór charakterystyczny, który w spuściznie tu przechowano szczęśliwie. Drewniany ten dworzec przetrwał wieki, przetrwał gmachy kamienne, burze czasów i stoi silnie na swej podstawie prawdziwą pamiątką historyczną, o której stara opowiada legenda, że głęboko w ziemi ukryty pod tym domem przechowywa się skarb zaklęty, który w czasach zamożności *Gotlandu* przez jednego z mieszczan tamtejszych był zakopany. Wedle legendy był to czarodziej i skąpiec, w całym mieście znany, trudniący się najohydniejszymi sprawami, za które pod przegierzem gardłem miał zapłacić. Przed uwięzieniem, widząc, iż żadnego nie ma ratunku, skarby swoje ukrył głęboko w ziemi i zaklął, aby wiecznie ludzi niepokoili żądzą chciwości i poszukiwań — nie dostając się nigdy nikomu. Saga o owym skarbie opowiada, iż długie lata daremnie się kuszone o znalezienie tej drogocennej po bogatym zbrodniarzu spuścizny — i kilku nawet poszukujących śmiercią chciwość swą przypłaciło. Utrzymują, że stary „*Jöns*,” czarownik, po nocach około tego miejsca krążył, zbyt ciekawych straszyl i o śmierć nawet przyprawiał — a skoro rezydencją przebudowano — duch jego obrał tu sobie schronienie i często dworzec nawiedza, zaklętego skarbu pilnując, który, jak fantazyja sagi dodaje, pod owym kominem głęboko w ziemi znajdować się musi, ponieważ często w nocy o blasku księżyca, gdy na kominie goreje, nad starym dworcem dym ulatując w powietrze, w postaci *Jönsa* się okazuje — a w miejsce oczu dwie złote iskry na ciemnej twarzy widziano. Bajeczka to czysto gminna — fantazyja ludowa — która przez wieki się przechowuje i często bardzo pomiędzy pospółstwem jest wspomnianą — starą *Rezydencją*, czasami zaczarowanym „*domem Jönsa*” mianując.

Zaraz w tej okolicy, niedaleko placu *Donnera*, zastawia nas, jakby w obrazku średniowiecznym, prawdziwie piękny i pamiątkowy budynek, który oryginalnością swoją koniecznie zwrócić musi na siebie uwagę. Nie jest to wprawdzie pomnik dawnych czasów świetności miasta, ale na gruzach już jego wyrosły w początkach XVII wieku budynek drewniany, w czysto germańskim smaku i stylu wybudowany. Cała fasada jego południowa, aż do wierzchołka spiczastego szczytu, pokryta jest gęstą zielenią ciemnego bluszczu, który ją fantastycznie ozdabia. Jest to starożytny i w niczem dotąd nienaruszony dom ówczesnego burmistrza „*Hansa Burmeistra*,” którego przodkowie dotąd z *Lubeki* przybyli. *Hans* zbudował tu sobie czysto starogermańską

siedzibę 1640 r. Wspominałem już, że dawnymi czasy przeważała w *Wysby* ludność niemiecka, która i po upadku tego miasta dzieliła wyspy koleje i mieszczaństwo przeważnie z niemieckiego się tu składało żywiolu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KRYTYCZNY POGLĄD

na sztuczne pożywki dla niemowląt i dzieci,

napisał

Dr. Józef Kosztnski.

(Ciąg dalszy. — Zob. Nr. 23.)

Opel zapoznał się przy pomocy odnośnej literatury i wskazówek, udzielonych mu przez lekarzy, z prawami dotyczącymi żywienia niemowląt w pierwszym roku ich życia i postanowił wszelkich dołożyć starań, aby utworzyć pożywkę dla tych nieszczęśliwych maluczkich, które ani piersią matki, lub żywicielki, ani też mlekiem karmionemi być nie mogą i tylko na lichy odwar kawy i jej zastępców i na rozmoczoną starą bułkę i t. p. są wskazane.

Dzieciny te blade, mizerne, wynędzniałe, z objawami krzywicy (rachitis) i żołądów (scrophulosis), spotykał po biednych rodzinach, których dochody nie starczyły na mleko, ani na sztuczne pożywki, w postaci polewki Liebiga, lub mąki jakiejś nic nieznaczącej sprzedawane.

Poznawszy to złe w społeczeństwie naszym i nie powodując się wyłącznie widokiem zysku, zestawił i wytworzył Opel na podstawie swych zdobyczy naukowych wyrób dla dzieci, który im niejako za chleb powszedni odtąd ma służyć.

Sucharki Opla z najlepszej mąki pszennej, z ściśle oznaczoną ilością cukru, młodzi słołowych, mleka szwajcarskiego, zgęszczonego, soli pożywnych (Nährsalze Phosphate) pieczone, są bardzo trwałe, smaczne i w istocie pożywne.

Mączka, w nich zawarta, uzyskana tak przez nader troskliwe pieczenie, jak i owo następne suszenie pieczywa, te konieczne i do jej strawienia niezbędne własności (aufgeschlossenes Stärkemehl). Nietylko niemowlętom, po nad trzy miesiące liczącym, ale nawet i dzieciom starszym, po kilka lat już starym, a do wspomnianych chorób skłonny, słabowitym, podawać je można. Ód lat kilku polecamy je z korzyścią i w rodzinach osób zamożnych, dla dzieci zresztą zdrowych, lecz delikatne kostki posiadających, które sucharki te, w mleku gorącym namoczone, dwa razy dziennie z wielką zajądają ochotą. Wyniki spostrzeżeń naszych przy użyciu sucharków tych, w wodzie rozgotowanych i podawanych dzieciom, skłonny do cierpień przewodu pokarmowego, także są zadawalające.

Pochlebny bardzo sąd o wyrobie tym Opla spotykamy w pracach dra E. Kormana z Koburga, Baginsky'ego, prof. Soltmanna z Wrocławia, prof. Demme z Bernu, dra M. Herza z Wiednia, dalej doktorów Biederta, Monti, Fürsta, Zellera, Wintera, Krohna i wielu innych. Najtroskliwiej i najdokładniej zajął się sprawozdaniem tak zawartości, jak i skutecznością sucharków Opla zgasyły za wcześniej radzca dr. Ernest Kormann.*)

Z dochodzeń jego wynika, iż sucharki Opla służyć mogą dzieciom od $\frac{1}{4}$ do $\frac{1}{2}$ roku liczącym za pożywienie,

zwłaszcza z dodatkiem mleka, że głównie dzieciom skłonny do krzywicy (rachitis) podawać je wypada i że przez czas pewien zastępować mogą u dzieci skłonnych do cierpień przewodu pokarmowego pokarm matki, lub mleko, gdy je odpowiednio w wodzie rozgotowane na ten cel się podaje. Do tego sądu przychyliła się prawie jednoznacznie owa dość pokaźna liczba wyliczonych poprzednio lekarzy dzieci.

Skutkiem także owego sądu wyrób Opla dość powszechnie jest już używanym i prawdopodobnie nie tak prędko przez inne pobitym zostanie. I nabycie jego także dość jest ułatwionem, gdyż prawie każda apteka i większa drogeria pośredniczy w jego sprzedaży. Sucharki Opla bardzo troskliwie przechowywać wypada, aby nie naciągnęły wilgoci i nie nabrały jakiego wstrętnego zapachu, o co zwłaszcza w drogeriach nie trudno. Ku wielkiemu naszemu zadowoleniu nadmienić tu możemy, że obecnie i pierwszorzędne nasze składy kolonialne mają sucharki te na składzie.*)

Aptekarz O. Rademann z Forbach w Lotaryngii wysłał w ostatnim czasie w świat także sucharki, mające na celu odżywienie niemowląt i dzieci i zapobieganie u nich, lub usuwanie krzywicy.

Dr. O. Zell z Stutgardu dość pochlebnie o wyrobie tym się wyraża i twierdzi, iż używał go z korzyścią nietylko u niemowląt słabowitych i trudno ząbkujących, ale nawet i u dzieci, krzywicą dotkniętych, u których znana metoda leczenia fosforem, przez dra Kassowitza podana, miała być już zastosowaną.

Jako pożywkę bardzo dobrą i smaczną, z w ł a s z c z a dla dzieci starszych, polecić możemy tanie i trwałe sucharki Petrolta**), które w gorącym mleku zamoczone dwa razy dziennie podawać im można.

*) Sucharków Opla nabyć można w Poznaniu w powszechnie znanym składzie p. A. Cichowicza, ul. Berlińska nr. 4.

**) Dampfzwieback-Fabrik v. Carl Petzolt. Stolker am Harz.

(Ciąg dalszy nastąpi).

PRZEGLĄD LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Krakowska „Akademia umiejętności“ postanowiła wydać nowe przedruki dzieł autorów z pierwszych okresów literatury naszej tak w polskim, jak w łacińskim języku. W skład komisji redakcyjnej, na której czele stoi prof. St. Tarnowski i wchodzi: prof. Bobrzyński, ks. dr. Chotkowski, dr. Rostafiński, dr. Wisłocki i dr. Józef Korzeniowski, jako sekretarz.

Komitet wydał następującą odezwę:

„Biblioteka pisarzy polskich wydania „Akademii umiejętności“ w Krakowie będzie obejmowała przedruki rzadkich utworów, przede wszystkim z XVI wieku i przeważnie takich, które nie były wydane w „Bibliotece“ Turowskiego, oraz zabytki literatury, dochowane w rękopisach. — Wychodzić będzie w formacie i na wzór „Biblioteki“ Turowskiego w zeszytach, obejmujących jeden tylko utwór, bez względu na jego obszerność, lub kilka utworów, bądź tego samego autora, bądź to odnoszących się do tego samego przedmiotu. Wydawca każdego utworu powinien przysposobić rękopis do druku, modernizując pisownię, zachowując wszystkie właściwości językowe, objaśniając w odwołaniach wyrazy przestarzałe, oraz podając na końcu spis alfabetyczny tych, których nie ma w słowniku Lindego; może też poprzedzić rzecz wstępem, który nie powinien przechodzić obszernością kilku stron druku. Wydawca

*) Erfahrungen und Versuche über die Verwendbarkeit von H. O. Opel's Nährzweiback als Nebenkost für Säuglinge und an Rachitis leidende Kinder von Sanitätsrath Dr. Ernst Kormann. Separatabdruck aus dem Jahrbuch für Kinderheilkunde. Neue Folge XVII. Band 1880.

dostaje zwrot kosztów przepisywania i ma prawo do honorarium według norm, przyjętych w komisjach akademickich.“

Do pracy tej powołała komisja ogół naukowych sił krajowych.

Ku uczczeniu pamięci znakomitego ludowego dramaturga, *Anczyca*, p. *Walery Rzewuski* wyznaczył 225 złr. nagrody konkursowej za najlepszą sztukę ludową. Przed innemi mieć będą pierwszeństwo utwory historyczne, mianowicie z bieżącego wieku. Termin nadsyłania sztuk kończy się z d. 1 stycznia 1889 r. W skład komitetu konkursowego wchodzi pp. *Adam Asnyk*, *Michał Bałucki*, *Józef Bliźniński*, *Adam Bełcikowski*, *Antoni Kleczkowski*, *Apollo Lubicz*, *Zygmunt Sarnecki*. Autorowie winni utwory swe nadsyłać pod adresem: *Księgarnia Gebethnera i Sp.* — *Kraków*.

„**Mejer Ezofowicz**“, znana powieść *Elizy Orzeszkowej*, wyszła świeżo w tłumaczeniu francuzkiem *Tissot'a* p. n. „*Meyer et Isaac moeurs juives d'après E. Orzeszko par Victor Tissot.*“ Przekład podobnie jak oryginał ozdobiony jest ilustracyami *Andriollego*.

W jednym z ostatnich numerów „*Kłosów*“ znajduje się rysunek rzeźby p. *J. Kryńskiego* jako pomnika ku uczczeniu zmarłego przed rokiem powieściopisarza naszego, *J. I. Kraszewskiego*. Pomnik ten ma 6 łokci wysokości, 3 łokci długości; część jego architektoniczna z marmuru, figury i ornamenta z brązu.

Pomnik ma stanąć w kościele św. *Krzyża* w *Warszawie*, gdzie św. p. *Kraszewski* był ochrzczonym i gdzie pierwotnie — jak sam pragnął — spocząć miało serce jego w puszcze z napisem:

Niech serce, co dla was biło,
Pod obcą nie schnie mogiłą.

Miejsce dla pomnika zasłużonego w piśmiennictwie męża, obrano w bocznej nawie świątokrzyżskiego kościoła, jedynem wolnem i odpowiedniem w tejże świątyni miejscu. Na nagrobku zamieszczony ma być następujący napis:

Gdzie chrztu świętego spłynęły nań zdroje,
Tu chciał po śmierci złożyć serce swoje,
Ażeby nie schło pod obcą mogiłą,
Zdała od bratnich serc, dla których biło.

Pierwszy projekt rzeźby p. *Kryńskiego* obliczony został na 4000 rsb., ale gdy zebrana nań staraniem redakcyi „*Kłosów*“, „*Kuryera warszawskiego*“ i „*Życia*“ kwota wynosiła tylko 758 rsb., zmuszony był p. *Kryński* — odpowiednio do skromnego funduszu — zmodyfikować swój projekt i stworzyć nowy, wynoszący 1000 rsb., która to cena — jak przyznają znawcy — jest nader niską w stosunku do wartości wyżej opisanego pomnika.

Wspaniały obraz *mistrza Matejki*, „*Kościuszkę* pod *Raławicami*, zwabia codziennie tłumną publiczność tak miejscową, jak zamiejscową na *Bazarową* salę. Wystawa otwartą jest codziennie od godziny 10 rano do 6 po południu, w niedziele i święta od 12 w południe do 7mej wieczorem. Wstęp dla dorosłych wynosi 50 fen., dla uczniów, uczennic i członków „*Towarzystw*“ 25 fen. Kto dotąd nie był, niech pospieszy napoić wzrok świetnymi blaskami aredyziela i rozpromienić serce radosnem wspomnieniem jednej z najpiękniejszych chwil gasnącej chwały narodowej, ponieważ — jak się dowiadujemy — bohater z pod *Raławic* nie długo pośród nas zagości.

Promyki.

Ludzie bez serca pouważliwości nie znają.

Ludzie ciasnego pojęcia mają sobie wyrozumiałość za grzech.

Ludzie niezgodni z swem sumieniem skłonni są do wielkiej surowości; rzecz to dowiedziona, że kto sobie wiele pozwala, ten drugim nic nie przepuszcza.

Jeśli masz powód uzalania się na kogo, idź prosto do niego i wytłomacz się oko w oko. Przez to szczerze, otwarte i godne człowieka z sercem postępowanie ileż to nieporozumień można uniknąć, ileż pomyłek naprawić, ilu krzywdom zapobiedz.

Miłość wierna to dźwignia w życiu bezbarwnem.

Pod wpływem smutków, cierpień i bólów bezgranicznych w umyśle i w sercu zająć muszą odpowiednie zmiany.

Niestałość uczuć jest zwykle właściwością charakterów niepewnych i umysłów płytkich.



ZAGADKA

p. *Zofia A.*

Nieszczęść ja wielkich bywam wyrazem,
Odpędzają mnie ludzie od siebie, jak zmorę,
Lecz wtenczas cnoty jestem obrazem,
Gdy za towarzyszkę szlachetność biorę.
A gdy główkę zetną figielków zapędy,
To już mej ceny nie obliczysz snadnie,
Bo w złoto, perły i brylantów rzędy
Realne me kształty ubrać wypadnie.
Gdy zaś w idealne szaty się ustroję,
Wtenczas na westchnień zasiadam tronie,
Kwiatkami żyję, rosą się poję,
Promieniami zorzy wieńczę swe skronie.
To znów na falującym stawiasz mnie obłoku,
Perły uczucia rzucasz mi pod nogi,
Witasz i żegnasz mnie leżką w oku,
Choć bywam nieraz we wszystkim ubogi.
Lecz gdy znów dziwnym wypadków biegiem
Główka odrośnie na moim tułowiu,
Wtenczas ujrzyście nas łącznym szeregiem,
Gdzie? — *Sródka*, *Chwaliszewo* wam powie.

LISTKI.

Panu E. S. w Kr. Za pamięć i życzliwość dla pisma naszego serdecznie dziękujemy. Żądane numeru wystaliśmy odwrotnie.

Panu J. Siemianowskiemu: Numeru „*Domu polskiego*“ wysłałiśmy podług pierwotnie podanego nam adresu. Zechciej Łaskawy Pan podać nam nowy adres dokładniej. Sama miejscowość zapewne nie wystarczy, potrzeba wypisać ulicę.

Panu Witalisowi: Zadaniem „*Domu polskiego*“ jest między innymi wyrabiać młode, rodzinne talenta, dla tego — stosownie do życzenia Autora — wydrukujemy nadesłaną nam „*pierwszą pracę*“ w przekonaniu, że to będzie dla Autora zachętą do dalszych, poważniejszych studyów.

TREŚĆ: Willa Erlach. Powieść przez *Ossipa Schubina*. Z języka niemieckiego tłumaczyła *A. P.* (Ciąg dalszy nastąpi). — Dla młodzieży parę słów z obłędzenia *Krakowa 1656 r.* (Wiersz.) *Kazimirz Oszmianin*. — Listy *Narcyzy Żmichowskiej* do *Bibianny Moraczewskiej*. VIII. — *Wyspa Gotland*. Obrazek z podróży ułożył hr. *Wawrzyniec Benzelstjerna Engeström*. (C. d. n.) — Krytyczny pogląd na sztuczne pożywki dla niemowląt i dzieci, napisał *Dr. Józef Koszutski*. (C. d. n.) — Przedład literacki i artystyczny. — *Promyki*. — *Zagadka* przez *Zofia A.* — *Listki*.